

Przebłyśki geniuszu

- Auuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuu!!! Bójcie się, skurwysyny,

idę po wasze dzieci! Auuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuu!!! – Głos

zawył powtórnie, z większą siłą.

- AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA!!! - zawtórował mu

drugi głos. – Kto zostanie, spłonie żywcem!

– Polejemy was moczem i benzyną!

– Zagrzebiecie się we własnych... szmatach!

– Co?

– Yyy... co co?

– No, co to znaczy?

– Nie wiem, ale pozytywnie się to nie kojarzy, nie? He, he.

– Właśnie, zagrzebiecie się we własnych szmatach! – wykrzyczał

Stanley Heartfield, wysoki, ciemnoskóry punk z dużym irokezem,

ubrany w czarną skórzaną kurtkę. Mocno odchylił do tyłu głowę i pociągnął

z butelki dużego łyka Beer Co. Hole.

Drugi punk, o białym kolorze skóry, miał mniejszego irokeza, był

niższy, ale miał więcej ciała od tego pierwszego.

Stali, chwiejąc się na niewielkim wzgórzu w pobliżu cmentarza,

i obserwowali pogrążone w ciemności domy i ulice Belmont Bay. W oddali

swą mroczną, niespokojną powierzchnią lśniło w świetle księżyca

jeziro Mountain Lake.

– Bo, słuchaj Al, cały ten bunt jest wartością, wiesz? Ta filozofia,

nasza postawa, ubiór i zachowanie... wszystko, co wyraża ta muzyka...

słuchanie jej jest wartością i śpiewanie też jest... – Nie skończył, bo przerwał sobie nagłym, głośnym beknięciem.

– Wartością...? – wybełkotał Al.

– Tak. Nawet to piwo, nasza rozmowa, ta noc i wszystko, co prowadzi nas w ten bunt, jest wartością absolutną, dającą nam wyobrażenie świata, do którego stworzenia chcemy dążyć.

– A jak zwymiotuję to piwo, Stan? – spytał Al.

– To tak samo, tylko że będzie to zwymiotowana wartość. Muzyka punkowa bez piwa to jak... koncert bez głośników... jak samochód bez kierownicy!

– Jak dziewczyna bez pośladków!

– Dokładnie! Słyszycie, umarlaki?! – krzyknął Stanley i beknął naprawdę głośno.

Obaj dopili piwa, rzucili butelki za plecy i otworzyli kolejne, które stały w zgrzewkach u ich stóp. Pociągnęli kilka łyków. Przyglądali się domom, położonym przed nimi, w dole.

– Śpią obiboki.

– Wiesz, ci bogaci nie słuchają punka, bo nie muszą się buntować, mają swoje zafajdane pieniądze i wszystko im pasuje.

– Ale dlaczego oni wciąż chcą się bogacić? Mają swoje stołki i tyle pieniędzy, że sami nie wiedzą, ile. Forsa jest dla nich jak tlen – po prostu jest i nawet jej nie liczą. Powinni rozdać ją biednym, a nie cały czas powiększać swoje zyski.

– No to coś ci powiem, Al. Grałeś kiedyś w Monopoly?

– No pewnie, że grałem!

– I podobało ci się, jak inni gracze stawali na twoich polach i musieli ci płacić?

– To było najlepsze, stary.

– No właśnie, bogaci bawią się tak samo, tyle że ich planszą jest... prawdziwy świat!

– No tak... ty to masz łeb. – Al zamyślił się ze smutkiem. – A my pracujemy dla nich...

– Myyy... i dlatego widzimy życie takim, jakie jest. Jesteśmy na samym dole tej cuchnącej maszyny systemu i widzimy prawdę każdego dnia. Dlatego się buntujemy. Dlatego ta muzyka jest taka głośna. Cały ten Seeex... – beknął Stan.

– Wreszcie mówisz konkretnie – powiedział Al.

– ...Pistols...

– Aaa...

– Powstał po to, aby obalić tę zasraną władzę – źródło cierpienia, niesprawiedliwości i braku tolerancji. Rząd i całe to państwo zawodzą nas – zwykłych ludzi, którzy stali się samotni w społeczeństwie. Taka jest pieprzona prawda. Poprzez zakazy i nakazy chcą nas uzależnić od siebie, skrępować i kontrolować, a jak ich nie posłuchamy, to nas zniszczą.

Al, a wiesz, co jest najśmieszniejsze?

– Co?

– Że te krawaciarskie cioty boją się naszych ćwieków.

– Ćwieków?

– Tak! Jak założę swoją skórę z ćwiekami, to te cioty boją się nawet na mnie spojrzeć. Kiedyś, gdy po pracy poszedłem z Rudym Jakiem na górę w klubie Stairway To Heaven, to napatoczył się taki jeden lalusz,

spieszył się gdzieś i wiesz, szturchnąłem go, bo przeciskał się na schodach, a wiesz, jak ciasno tam jest... no możesz nie wiedzieć, bo my przecież nie chodzimy na te wiejskie balangi dla stetryczalnych sklerotyków... ale ja musiałem zanieść tam paczkę od Humphreya „Mutanta”... no i szedł ten konus, pewnie się bał nas dotknąć tym wyglądownym garniakiem, bo przeorał swoją marynarkę o jakieś betony czy tynki na ścianie, wiesz, jak tam jest... no nie, nie wiesz... no i mijając nas, słyszałem, jak zaklął pod nosem, a ja mu jak z karabinu, bo mnie ten kurdupel wkurzył, poza tym, znasz mnie, ja nie lubię garniturów i krawatów, no i byłem na wkurwionym kacu, a tego dnia Humphrey opieprzył mnie za jakąś moją przypadkową fuszerkę, he, he, co wzmogło mój podły nastrój, no, trochę za bardzo mnie poniosło.

„Cotozakurwasłownictwojegopierdolonamać”!? On spojrzał na mnie, niski był, to musiał wysoko podnieść głowę, no i powiedziałem: „Przeprós nas, palancie, bo nie naliczysz bluzg, jakie wypowie lekarz, jak cię zobaczy”, a on spojrzał, jakby miał się za chwilę zesrać i przeprasza swoim ciotowatym głosem, bo wiesz, te ćwieki to ważyły ze dwa kilo na mojej ramonesce. Oni boją się błysku tego żelastwa, mówię ci, Al.

– Ćwieki ćwiekami, ale jak potem Humphrey się dowiedział, że nastraszyłeś jego prawnika, to sam wiesz, jak było, z nim to podobno krótka piłka.

– Al, ale to nie za to mnie wywalił.

– Cooo?

– Słuchaj, to była historia. Właściwie to nie wywalił, po prostu jako pracownik przestałem dla niego istnieć, bez żadnych łez, bez słów pożegnania.

– Masz – rzekł Al i podał mu butelkę, głośno przy tym bekając.

Nocną ciszę rozproszyło syknięcie otwieranego piwa, a Stanley kontynuował:

– Humphrey dał mi auto swojej kobiety – Loretty – żebym je odpicował, bo miała jakieś spotkanie w szkole po latach, czadowy buick wildcat z 1963 roku, co za maszyna. Al, a w ogóle to wiesz, dlaczego na tych spotkaniach pojawia się tak mało ludzi?

– Bo nie mają czasu?

– Nieee... bo przychodzą tylko ci, którym coś się w życiu udało, he, he! Ci, których nie przekosiła i nie przeżarła jeszcze państwowa machina obłączniczo-uciemiężająca. Pozostali nie mają się czym chwalić.

Dobre, nie? No i podjeżdża ta lalunia... Al, nie mówię, że coś się jej udało, no... może te cycki...

– He, he, więc ona idzie tam pochwalić się swoimi cyckami...

– Dobrze mówisz, Al, twoje zdrowie. – I obaj pociągnęli po łyku. –

A... no i trafiła w dodatku na niezłego kolesia, bo Humphrey raczej na niej nie oszczędza, chcąc chociaż w taki sposób przykryć kwestię swojego wyglądu. Skąd on, do cholery, ma te paskudne blizny na twarzy...?

Więc tak: Loretta wychodzi z buicka, sam wiesz, bo ją kiedyś widziałeś, obcisła bluzka, dekolt jak Zatoka Meksykańska, krótka czerwona spódniczka, skórzane buciki za siedemdziesiąt dziewięć dolców,

no po prostu jak najlepsza dziwka Nowego Jorku! Chmura feromonów ciągnie się za nią jak sznur psów za suką i daje mi kluczyki ze słowami:

„Teraz jest twój, kowboju”, a ja poczułem się jak jakiś zaszran żigolak, no nie powiem, że chętnie bym spędził z nią chwilę, za które takie panie rozdają auta, ale sprzedawanie własnego ciała nie wchodzi w grę!

Przecież mam swój honor! Utopiony w piwie, ale mam!

No i wziąłem się do roboty, czyściłem, pucowałem, dmuchałem i chuchałem na to cacko. Humphrey z damą poszli i powiedzieli, że wieczorem wrócą po furę, a ja dalej swoje. Wyszło tak, że mucha nie siada.

Po półgodzinie zajechała do mnie Brooklyn, jak zwykle paradując prawie na golasa, powiedziałem: „Mam robotę, kochanie”, ale ona nawet nie rozejrzała się, czy jesteśmy sami. W zakładzie na szczęście nikogo więcej nie było... i napierała. Jako były chłopak czułem się zobowiązany, żeby odwzajemnić jej uczucia, nie? Al, kto by się oparł, człowieku, a ona rzuciła, żebyśmy to zrobili w tym samochodzie, no nie? Powiedziałem: „To auto... nie ma mowy, kochanie”.

Ale stary brachu, Al, kto by się oparł takiej wariatce! Zamknąłem garaż i wskoczyliśmy do środka. Buick aż skrzypiał, tak mu się podobało, a kiedy skończyliśmy, usłyszałem klakson – to Perry „Śmigacz” pewnie przyjechał po paczki, bo Humphrey handluje również częściami, na pewno to on. Czemu ten palant nie przyjechał chwilę później, może bym uniknął tego, co się potem wydarzyło? Ale nic, trudno się mówi... wyskoczyłem z garażu i pobiegłem, a jak Perry odjechał z paczkami, Brooklyn już wsiadała do swojego chevroleta – buziaki i po chwili opony jej samochodu z głośnym piskiem zdzierały autostradę.

Brooklyn, woow, co za imię, po nocach z nią czułem się, jakbym przeleciał cały nowojorski Brooklyn, wiesz, o czym mówię, prawda, Al?

Po południu, gdy przyszedł czas zdania wozu, przypomniałem sobie o prezerwatywie, którą zostawiłem – Chryste! – na desce rozdzielczej!

Biegnę do auta, a tam nic, rozumiesz, stary? Przeszukuję

cały samochód, schowki, nie schowki, pod siedzeniami, półkami,
a gumka pełna moich mikropotomków zniknęła! No dobra, to pewnie
Brooklyn ją wzięła, ja pierdolę, mam nadzieję. Humphrey przywiózł
swoją cizję, która wlaźła do Buicka i spoko, rozsiadła się wygodnie,
sprawdzała fotel i różne duperele, a ja rozmawiałem z Humphreym
o tym wozie jak z nieba. Widziałem swoje błędne oczy odbijające się
w jego okularach przeciwsłonecznych i niemalże dostrzegłem w nich
bujające się na mnie ciało Brook. Ach, ta wariatka! On coś mówił do
mnie, a ja wciąż cholernie cicho zadawałem sobie pytanie, które zostawało
nadal bez odpowiedzi: gdzie jest gumka? Uśmiechałem się
i przytakiwałem, a tu nagle krzyk – ten krzyk; przecież wszystko szło
dobrze, miało nie być żadnego krzyku! Pobiegliśmy tam, a Loretta siedziała
nieruchomo, z rękami rozłożonymi po bokach, a na spódniczce,
tej pieprzonej czerwonej spódniczce, leżała cieknąca, rozwalona jak
ranny ślimak ta p i e r d o l o n a g u m k a!

Loretta z otwartą buzią patrzyła to na mnie, to na Humphreya, a nad
nią odchylona zakładka z lusterkiem. Kurwa, tam nie sprawdzałem!
Brooklyn, pieprzona Brooklyn, wsadziła kondoma za osłonę przeciwsłoneczną

pod sufitem! Al, już wiesz, jak ta Brooklyn jest popieprzona!

Humphrey powoli wlepił swoje spojrzenie we mnie i jakie szczęście,
że nie widziałem jego oczu zza tych okularów, bo na pewno bym
padł ze strachu, jak młody świstak przed tyranozaurom. Miałem wrażenie,
że te jego koszmarnie blizny pulsowały coraz bardziej i za chwilę
pokryją mu całą powierzchnię twarzy, zamieniając go w prawdziwego
mutanta. Co za wtopa – pomyślałem – ale w przebłysku geniuszu,
moim cudownym przebłysku geniuszu, wyrwało mi się:

„Tam nie sprzątałem, szefie” – i podniosłem ręce w geście poddania.

Humphrey przeniósł wzrok na Loretę, a ona na to:

„Kochanie, czy myślisz, że krzyknęłabym, gdyby to było... yyy...

mojjje?”

Wielki gość numer jeden niewykluczone, że uznał ten argument za logiczny, gdyż teraz przeniósł z kolei wzrok na moją kurewsko winną osobę, a ja poczułem, jakby spojrzał na mnie przywódca stada goryli, którego wirus wścieklizny dopiero zaczął rozchodzić się po krwiobiegu; nieomal słyszałem to skwierczenie w żyłach, które przyjmowały dawkę skażenia odpowiednią, abym za sprawą wściekłego małpiego olbrzyma przestał istnieć w sposób najokrutniejszy z możliwych.

„Ktoś tu zrobił niezły dowcip” – powiedziałem, opanowując nerwy, i zobaczyłem, jak mojemu wielkiemu szefowi napinają się wszystkie mięśnie.

„Czyli nic na ten temat nie wiesz, Stan?” – zapytał Humphrey oskarżycielskim tonem.

„Nic a nic” – odpowiedziałem jak niewiniątko, ale z dużą dozą pewności siebie.

„Czy przysięgasz na swoją matkę?”

„Tak” – Słyszę chichot mojej świętej pamięci mamusi.

„Na ojca?”

„Tak” – Na niego to mogę przysięgać, świat ucieszyłby się, gdyby zniknął.

„Na całą swoją rodzinę?”

„Tak, szczególnie na kuzynów ze strony ojca”.

„Co?”

„Bardzo ich lubię...”

...bić, he, he.

„No dobrze – powiedział Humphrey i wyczułem nagłe podniecenie w głosie mojego szefa. – Sprawdzę w koszu na śmieci, zwykle tam wyrzuca się opakowania po gumkach, prawda, Stan?”

„Jasne, szefie, ale tam nic nie ma” – odparłem z uśmiechem i poczułem, jak mój mocz zaczął napierać na ścianki, kurwa, pęcherza.

Loretta w aucie słuchała naszej rozmowy, siedząc z moją spermą na kolanach. Al, myślałem, że pękne ze śmiechu, ale na szczęście moje usta nawet nie wygięły się lekko, bo bliżej mi było do śmierci ze strachu.

Pomyślałem, że nie powinno być mi do śmiechu, bo ja przecież do tego kosza na śmieci, do którego zbliżał się Humphrey, wyrzuciłem ten pieprzony papierek. Jezu, porządniś ze mnie nieprzeciętny! Ale zaraz, wcisnąłem go głęboko, a potem jadłem loda i wyrzuciłem „Forbesa” po przeczytaniu, bo trzeba coś robić, opierdalając się, nie, Al? Zapytasz się: dlaczego czytałem to barachło? Dobre pytanie, brawo, Al! No cóż, żeby pokonać tę burżuazję, trzeba się o niej dowiedzieć jak najwięcej, mam rację? No pewnie, Al! W przyływie rozpaczliwej nadziei pomyślałem, że Humphrey nic nie znajdzie, w końcu to opakowanie po gumce nie jest aż takie duże. Spoglądałem w jego kierunku, a on tak sprawnie wywijał łapami i grzebał w tym koszu, jakby był na mistrzostwach świata bezdomnych! Humphrey szukał i szukał, a ja pomyślałem, że gorące krople potu chciały mi rozorać policzki i czułem się jak w kolejce na lotnisku z heroiną w dupie. Al, ja naprawdę czułem, że zaraz zejść, ten Humphrey to cholernie wielki gość, większy od naszych ojców razem wziętych, bo podobno kiedyś przedawkował hormon wzrostu,

a groźniejszy jest od głodnego aligatora amerykańskiego. Ja tymczasem zastanawiałem się, w którą stronę będę biegł. A tu pięć chwil później zobaczyłem, jak Humphrey szedł, wyszczerzony, Jezu, jak on był wyszczerzony!

Przecież on nigdy się nie uśmiecha!

„W porządku, Stan, to musiał być jakiś brzydki żart” – powiedział z daleka.

No i zbliżał się do mnie niebezpiecznie, a ja próbowałem wydedukować, co autor tej miny ma na myśli. Zza tych pieprzonych okularów gówno było widać, a ja za chwilę mogłem stać się pokarmem dla jego rybek i patrzyłem, patrzyłem i widziałem, że coś trzymał w dłoni, no, coś tam było, coś miętolił i obracał w tych swoich tłustych paluchach, a Loretta siedziała w swoim aucie z gumką na kolanach i czyżby ona czekała na właściciela? Co za komedia! Albo raczej komediodramat, bo Humphrey był już naprawdę blisko, cholera jasna, podniósł rękę w geście poklepania mnie po plecach.

„Chodź, synu, pomożemy tej pięknej damie pozbyć się...”

Ale on nigdy dotąd nie powiedział do mnie „synu”, ostrożnie więc przekręciłem się do niego bokiem, gotowy do uniku, a on skończył zdanie:

„...takiego zawszonego pędraka, jak ty!”

Wtem poczułem jakiś świst powietrza, kątem oka ujrzałem, jak olbrzymia dłoń Humphreya sunęła w moim kierunku, a ja, na szczęście przygotowany i czujny, wciąż z resztkami uśmiechu, zrobiłem unik, wielka łapa musnęła moją głowę, zaczesła mi włosy i przecięła powietrze, jak piłą, pieprzona piłą, spiesząca do Teksasu na krwawą masakrę! Bez dwóch zdań chciał mi ściąć głowę, rany, Jezu, schyliłem się, widząc,

jak papierek od kondoma upada na ziemię i spierdalałem... Al, jak ja spierdalałem, jakby goniło mnie całe stado humphreyozaurów, mało nóg nie pomyliłem. Nie oglądałem się do tyłu, zamiast tego pędziłem do światelka w tunelu, aż się kurzyło i nie dogoniłaby mnie nawet kanadyjska policja konna. Minąłem kilka tych aut, na które każdego dnia miło było patrzeć, jak przychodziłem do pracy. W biegu pożegnałem się z pięknym chevroletem monte carlo, a obok niego spoczywał cudowny czerwony ford maverick z 1970 roku, którego sam malowałem. Aż żal mi było patrzeć na nie ostatni raz. Albo na pięknego dodge'a monaco, jakby przyjechał prosto z planu „Blues Brothers”. Oprócz nich stało tam kilka zdezelowanych cacek, jak dodge dart swinger czy dodge charger. Gdy zbliżałem się do bramy wjazdowej do warsztatu, nagle zobaczyłem na drabinie Nathana Carsona, pracującego na popołudniowej zmianie i przykręcającego nad wjazdem nowy, piękny szyld naszego zakładu. Widziałem, jak majstrował tam w czymś i nawet mnie nie widział. Ten lizodup z każdą pierdołą chodził do szefa. Po prostu skarżył jak w szkole, cwaniaczek. Normalnie to koła nie potrafił zmienić, no ale jakiś wazeliniarz musi być w zakładzie, co za gnida, do licha ciężkiego! Taki służalczy matoł zasługuje jedynie na wysłanie na bruk, ale jeśli chodzi o te rzeczy, i to dosłownie, to nie ma w Belmont większego specjalisty od Stana Heartfielda! W drugim przeblysku geniuszu odpłaciłem mu za wszystkie poniżenia i z całej siły jak przywaliłem nogą w tę drabinę... potem utykałem do wieczora, no, ale liczy się sprawa. Al, ten lizodup Carson wywinął takiego orła tam na górze, zupełnie jakby uczył się latać! Nabrał w dłonie powietrza i z tą składającą się drabiną wylądował na tej cudownie nisko położonej ziemi z głośnym

trzaskiem tego szyldu, który złamał się na trzy części, a ja, lekko utykając, nic, tylko w nogi. Nawet nie czułem bólu, dumny z tego, że ten popierdolud dostał to, na co zasłużył.

„Ty huju!” – usłyszałem z tyłu głos Humphreya, brzmiący tubalnie jak Darth Vader, ale co za plecami, to z głowy, pomyślałem. Po kilkunastu metrach zwolniłem i odwróciłem się. Humphrey, cały czerwony ze złości, nie wiedział, czy biec do Carsona, czy za mną, czy do psychiatry, czy do swojej laski, no właśnie, a tamta pudernica cały czas tam siedziała, rozumiesz, Al? Ale teatr, parodia pierwsza klasa! Chyba patrzyła, jak wiły się roje moich punkowych, pijanych plemników.

Więc żeby dobić tego olbrzyma... wiesz, Al, że lubię dobitnie zaznaczyć swoją obecność i często mnie ponosi, przekraczanie granic to ja mam w genach po dziadku samobójcy, to była historia, ale o tym kiedy indziej... ściągnąłem spodnie i pokazałem mu moją bladą jak ściana dupę w całej swojej punkowej okazałości. Carson leżał niedaleko i jęczał jak przyszła padlina. Ja świeciłem dupskiem w słońcu, a światło odbijało się prosto od niej w te wielkie okulary przeciwsłoneczne. Stał w nich człowiek, który powoli przestawał być moim szefem i wyglądał jak najbardziej krwiożerczy agent w historii FBI. Pochylałem się głęboko i spomiędzy nóg zobaczyłem idącego, rozjuszonego Humphreya, który wyzwał mnie od najgorszych i groził mi ręką. Ale teraz słuchaj, bo w trzecim przeblysku geniuszu odpieprzyłem numer, jakich mało.

Zważając na to, że Humphrey jest daleko, zacząłem się napinać i wyciskałem siódme poty, jakbym miał za chwilę urodzić swojego doskonalszego następcę. Parłem ze wszystkich sił i tak to się zdarzyło, dzięki ci Panie, że tego dnia jeszcze nie robiłem dwójeczki! Posadziłem grzyba

przed oczami Humphreya Mutanta w bramie wjazdowej jego zakładu!

Stary, ale Humphrey zaczął wariować! Pochylony do przodu, widziałem, jak biegł w moim kierunku niczym nabuzowany nosorożec, jak ziemia dudniła pod jego ociężałym cielskiem, które bujało się na wszystkie strony i próbowało złapać długonogiego Stana. Wściekłość spływała z niego jak woda w Niagarze, widziałem, że był wkurwiony bardziej niż mistrzowie z filmów kung-fu o Shaolin.

„Ty cioto jebana, zeżresz to gówno!” – wybelkotał gniewnie mój szef.

„Myślę, że nie-e!” – wykrzyknąłem i szybko podciągnąłem spodnie, a niech to, nie ma czasu na podcieranie, liczy się sprawa. Wziąłem nogi za pas i już na dobre opuściłem ten przybytek Sodomy i Gomory, biegnąc w stronę słońca.

Stan widział, że Al leżał na ziemi i mało się nie udusił ze śmiechu.

– Chryste, ty nie jesteś Stanley, nadaję ci nowe imię, bluźnierczy synu chaosu, od teraz jesteś S a t a n l e y!!! Mianuję cię moim ojcem chrzestnym, słowo daję! Co mogę dla ciebie zrobić, ojciec Satanley, he, he?

– Imienia się nie wybiera, niech tak będzie! Marzy mi się dokonanie czegoś wielkiego, żeby ludzie obudzili się z tego letargu.

Al podążył wzrokiem za nietoperzem, który po krótkim locie zniknął za wieżą kościelną.

– No to możesz ich dosłownie obudzić, Stan.

– Yyy...?

– Możemy pójść nad urwisko porzucać butelki na miasteczko.

Stanley skierował wzrok na wieżę i utkwiał w niej spojrzenie na

dłużej.

Dzwonnica.

Wbijala się w niebo po to, aby jak najlepiej było ją słyszeć.

Żeby usłyszeli ją wszyscy. Wszyscy!

Wtem Stana przeszło jakieś ciepłe, przyjemne uczucie, bo zaświtała mu w głowie myśl tak odważna, tak wspaniała, że aż w swoim pijanym zdumieniu otworzył usta.

– Albo zrobić coś lepszego. Chodź, Al, znowu mam p r z e b ł y s k g e n i u s z u.

Poszli, mijając folie, kartony i butelki, czyli pozostałości po trzech sześciopakach piw.

– Stan, jak chcesz to zrobić?

– Wywalimy jakoś te drzwi.

– Powodzenia, kolego, i chodźmy do czołgu, ale gdzie go zaparkowaliśmy...

– Al, daj mi... jakiegoś pręta... przydałby się łom.

Al rozejrzał się dookoła.

– A kamień?

– Dawaj!

Stan wziął od kolegi potężny kamień i uderzył w zbrojone szkło okienka znajdującego się obok drzwi. Poszło lepiej, niż się spodziewał.

Może się udać. Żebyśmy tylko nie narobili hałasu. Jeszcze nie teraz...

Stan uderzył kilka razy i gruba szyba rozsypała się na kawałki.

– Dobry ci załatwiłem kamień, co?

– Taa... ale załatw mi jeszcze dobrą piłę, no nie musi być taka dobra, wystarczy, żeby po prostu była. – Stanley pociągnął za cienki, mocny drut i popatrzył zrezygnowany.

– Nic z tego, zbrojenie szkła to solidna przeszkoda, kiedyś pracowałem...

ale, Stan, nie wystarczy rozchylić te pręty i wtedy udałoby

nam się sięgnąć do środka?

Wzięli ten sam kamień i zaczęli na zmianę walić w druty, które po

pewnym czasie ugięły się i rozciągnęły, a jeden z nich pękł. Stan włożył

do środka rękę.

– Nie dam rady. Ty spróbuj, może masz dłuższe ręce?

– Tylko musimy pozbyć się odcisków palców. Ostatnio w Aniołkach

Charliego pewien morderca miał z tym problem.

– Nie muszę oglądać jakichś kretyńskich seriali, żeby o tym

wiedzieć.

Al sięgnął najdalej, jak mógł, i przyparł policzkiem do muru. Po

chwili na twarzy wykwitł mu grymas bólu rozpromieniony nagłym szerokim

uśmiechem i pustym pomieszczeniem targnął metaliczny trzask.

– Jest! Udało nam się, Al! – Stanley klepnął mocno kolegę po plecach

i nacisnął ostrożnie klamkę.

Drzwi otworzyły się, ukazując ich ciekawskim oczom mroczne

wnętrze kościelnej dzwonnicy.

– Al, jesteś gotowy na koniec świata?

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Julius Throne, dodano 15.01.2020 15:28

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.